

Szanownemu panu Antoniowi Oppmanowi
siostrzemu poecie, z rodzinnym uściskiem
Antonii Juszkiewicz
Warszawa, maj 1926.

JULJANA TUWIMA

Czyhanie na Boga (wyd. III)
Sokrates tańczący (w. III w druku)
Siódma jesień (wyczerpane)
Czwarty tom wierszy
Czary i czarty polskie

JULJAN TUWIM

SŁOWA WE KRWI



WACŁAW CZARSKI i S-KA
WARSZAWA 1926

OKŁADKĘ RYSOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI. ODBITO
W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.
PIERWSZY DRUGI TYSIĄC



I. 126.835

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017620350

I. Ak. 220

SŁOWO I CIAŁO

I

Słowo ciałem się stało
i mieszka między nami,
karmię zgłodniałe ciało
słowami jak owocami;
piję jak zimną wodę
słowa ustami, haustami,
wdycham je jak pogodę,
gniotę jak listki młode,
rozcieram zapachami.

Słowo jest winem i miodem,
słowo jest mięsem i chlebem,
słowami oczy wiode
po ścieżkach gwiazdnych niebem.
Radości daru świętego,
o! wieczne umiłowanie!
Słowa mojego powszedniego
daj mi dziś, Panie!

II

Nie mam żadnego zajęcia:
jestem tylko łowcą słów.
Czujny i zasłuchany
wyszedłem w świat na łów.

Słowami fruważą chwile,
i wszystko, com kochał i czuł,
brzęczy całymi dniami
rojem słonecznych pszczoł.

Muskają mnie słowa skrzydłami,
ządlami tną do krwi.
Skłutemu, strutemu słowami
tak słodko mi!

W sercu zamknięte
trzepocą słowa,
dlatego tak serce drży.
Miodem zaklętym
pijana głowa:
dlatego — sny.

III

Każde słowo ma korzeń w czarnej głębi ziemi,
A gdy na wierzch wytryska — to zielenią śliską,
A drugie się z niem splata włóknami świeżemi
I rosną w górę razem gałęzią roślinną.

Krew z ziemi słowotryskiem do ramion i głowy:
Ramiona nam rozwiera, głowę światłem zlewa.
Ach, w trzepocie wiosennym, jak w gęstwie dąbrowy,
Na dwugałęzi ptakiem pełne serce śpiewa!

Dzień, jak z łona rodzącej, wyłazi z ciemności
I codzien życie zaczyna młody i wysoki!
I chwyta nas w godziny, jak w uścisk miłości,
I całując, wyciska słowa z ust, jak soki.

Tak to w męce, w rozkoszy krzyczą rozedrgane,
Krwawiące ciosem bożym, jak cesarskim cięciem:
Głowy, ostrym tasakiem słońca rozplątane,
Łona, rozdarte słowem, jak matka dziecięciem.

IV

Ty jesteś moja czerwień,
Ty jesteś moja zieleń.
Mózg w gałązkach unerwień:
Rośliny żywych wcieleń.

Świata groźnego ucisk,
Boga straszego rozpędy,
W mózgu szumy trucizn,
Słów, skroplonych obłędem.

Krew moja — moja mowa,
Gorąca miazga ziemi.
— Czerwieńcie, zieleńcie się słowa,
Hymnami buntowniczymi!

V

Niedarmo z śpiewem rymuje się krew,
Niedarmo krwi oddzwania gniew.
Słowo wie, jakim brzmieniem nabrzmiewa!
Krew — gniewem — śpiewa.

Nasz gniew rozdziera niebiosów strop,
Przetapia słowa w płomienny stop,
A światłem, które nam świeci,
Bóg cieleśniej, poeci!

MUZA CZYLI KILKA SŁÓW ZALEDWIE

Nie szperajcie po słownikach,
Nie szukajcie słów szarpiących,
Zaśpiewamy o słowikach
Śród gałęzi śpiewających.

Zaśpiewamy po dawnemu,
Zatęsknimy, jak za młodu,
Wracam smutny, nie wiem czemu,
Cały w śpiewie do ogrodu.

Jeszcze słowik, ogród, drzewa
W mojej mowie tyle znaczą!
W tym ogrodzie serce śpiewa,
Śród tych drzew słowiki płaczą.

Zawstydzonych, zakochanych
Panna miła znajdzie nas tu
Z tamtych lat niedośpiewanych,
Z przed dziesięciu, z przed piętnastu.

Miła Panna, słowu miła,
Miła słowom, miłowana,
Ta, co śpiewy nam słowiła.
Muza jasna, zapomniana.

W bzowe noce, pod gwiazdami,
Zapłakani, przy fontannie,
Przypomnijmy słowikami
O nas dawnych miłej Pannie!

SITOWIE

Wonna mięta nad wodą pachniała,
kołysały się kępki sitowia,
brzask różowiał i woda wiała,
wiew sitowie i miętę owiał.

Nie wiedziałem wtedy, że te zioła
będą w wierszach słowami po latach,
i że kwiaty zdaleka po imieniu przywołam,
zamiast leżeć zwyczajnie nad wodą na kwiatkach.

Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,
słów szukając dla żywego świata,
nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
to potem trzeba cierpieć długie lata.

Wiedziałem tylko, że w sitowiu
są prężne, wiotkie i długie włókienka,
że z nich splotę siatkę leciutką i cienką,
którą nic nie będę łowił.

Boże dobry moich lat chłopięcych,
moich jasnych świtów Boże święty!
Czy już w życiu nie będzie więcej
pachnącej nad stawem mięty?

Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wyrywał w rozpacz
i sitowia, sitowia zwyczajnego
nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?



PRZEMIANY

Wielka jesteś, jara ziemio, ale mi ciebie mało!
Dla mojej miłości wściekłej
Jeszcze powinnaś, być większa!
Jeszczeby się — o, wrząca i żywa! — przydało
Napakować jakich drożdży do twego wnętrza!

Żebyś nabrzmiała nową, płodną siłą,
Żeby drzewa jak słonie rosły,
Żeby gęstą żywicą z głębi tryskało i biło,
Żeby dzwonami dzwonił zielony bulgot wiosny!

Żeby pędziły do góry słodkie twoje tłustości,
Karmione wrzątkiem żaru, mlecznym słońca udojem,
Żeby rzyska skwierczały z gorącej opłwitości,
Żeby, za kłosem tęskniąc, białawym pławiły się łojem!

Nuże, kwiaty — lepkie i mięsiste,
Pęczniejące, wygięte znacząco,
Kwiaty, wonią zbarwioną wytrysłe
W waniljowe, korzenne gorąco!

Nuże, ciepło — głębokie, pełne,
Pod zielenią jaskrawo-trawiastą!
Jarz się, niebo gęste, olejne,
Smarowane światłem jak omastą!

Deszcze świeże, szumne ulewy,
Niech was żłopie kochanka zgrzana!
Ziarna, zwierzętami wyskoczcie z gleby!
Z brzóz niech cieknie strumieniami śmietana!

A ty, bujna, gorąca i mleczna,
Ty, wypierśna, młoda i soczysta,
Babo wieczna, babo rozłożysta,
O, radości nieskończonej zdroje:
Łonu twemu — soki moje,
Dziecku memu — mleko Twoje!

* * *

Zacisnąć pięści, zaciąć zęby,
Z pod bruzdy gniewu patrzeć w świat,
Iść pod wysoki, szumny wiatr,
Bijący w twarz, tłukący w świat,
Jak rebeljantów twarde bębny.

Oto samotnych prosta droga:
Wielki, przeciągły wichru huk,
Groźny, szumiący w wicherze Bóg
I burza w chmurach — Jego pięść złowroga.

I ja i On w odwiecznej męce
Miłością rozsadzamy świat,
W niebie szaleją mściwe ręce
I Jego oczu gwiazdny grad.

A jeśli grom — to On, to On
Nadół płonąca runął głową!
A jeśli krzyk — to ja, to ja:
Ludzkiego buntu boże słowo!

SŁOWEM DO KRWI!

Wasze słowa są, jak salonowe pieski,
A moje — jak wściekłe psy!
Pal licha wasze arabeski i burleski
I — zamiast stawiać wielokropki, kreski —
Policzkujcie w swych wierszach,
Pięścią walcie w łby!
Rwać, drzeć na strzępy
Wasze sonety i tirlitryolety,
Kpy!
Niechaj poezję znienawidzą
Mdłe i płowe
Panny lubieżne!
Słowem do krwi — jak tasakiem w głowę!
O, słowa! słowa ostre i złote!
Słowa prężne i drapieżne,
Jak lwy! Jak lwy!

PROŚBA O PIOSENKĘ

Jeżelim, Stwórco, posiadł Słowo, dar Twój świetny,
Spraw, by mi serce biło gniewem oceanów,
Bym, jak dawni poeci, prosty i szlachetny,
Wichurą krwi uderzał w możnych i tyranów.

Nie natchnij mnie hymnami, bo nie hymnów trzeba
Tym, którzy w zżartej piersi pod brudną koszulą
Czcze serca noszą, krzycząc za kawałem chleba,
A biegną za orkiestrą, co gra capstrzyk królom.

Lecz słowom mego gniewu daj błysk ostrej stali,
Brawurę i fantazję, rym celny i cienki,
Aby ci, w których palnę, prosto w łeb dostali
Kulą z sześciostrzałowej, błyszczącej piosenki!

QUATORZE JUILLET

Już jest gotów. Nosi strój odświętny:
Żółte buty, frak naftalinowy,
Krawat lila, „półkoszulek“ zmięty
I błyszczący kołnierzyk gumowy.

W mętnej lustrze z ramą pozłacaną
Widzi pysk spasiony, tłustą szyję.
„Polsko“, szepce, „łojczyzno kochano!
I ty Francjo — oto jezdem — niech żyje!“

JEGO święto dzisiaj, w tę rocznicę
Czarnych tłumów, krwi, szału, wściekłości,
Kanonady, co prażyła ulice
W burzy słodkiej francuskiej wolności!

JEGO święto dzisiaj! On dziś będzie
Dźwigał sztandar rzeźnicki cechowy,
On w resursie dziś wieczór zasiędzie,
„Wiwe láfrans!“ będzie krzyczał wśród mowy!

On, bałuszac oczy, będzie śpiewał
Marsyljanke z cechową starszyzną
I sztandarem na jej cześć powiewał,
Myśląc: „Francjo! Moja druga łojczyzno!“

On to właśnie, on — rzeźnik cechowy —
Bunt świętuje i łezkę ociera,
On — sojusznik rewolucji lipcowej,
Korfantego, wszystkich świętych i Hallera!

Lecz, gdy kiedyś będzie szedł z obchodu,
Już nie zdąży „na sztukamię“ do domu!
— Ty, Madame, z wzburzonego narodu
Skoczysz nagle, błysniesz błyskiem gromu!

I dopędzisz go! I jak szalona
W pysk go batem smagniesz śród ulicy,
Rewolucjo! Amazonko czerwona!
O, płomieniu oszalałej stolicy!

POGRZEB PREZYDENTA NARUTOWICZA

Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni.
Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie,
Wy, w chichocie zastygli, bladzi, przestraszeni,
Chodźcie, głupcy, do okien — i patrzcie! i patrzcie!

Z Belwederu na Zamek, tętnicą Warszawy,
Alejami, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieś-
[ciem,

Idzie kondukt żałobny, krepowy i krwawy:
Drugi raz Pan Prezydent jest dzisiaj na mieście.

Zimny, sztywny, zakryty chorągwią i kirem,
Jedzie Prezydent Martwy a wielki stokrotnie.
Nie odwracajcie oczu! Stać i patrzeć, zbiry!
Tak! Za karki was trzeba trzymać przy tem oknie!

Przez serce swe na wylot pogrzebem przeszyta,
Jak Jego pierś kulami; niech widzi stolica
Twarze wasze, zbrodniarze, — i niech was przywita
Strasznym krzykiem milczenia żałobna ulica.

NĘDZA

Krzywda krzyczy z pod ziemi,
Czarni i chudzi wołają:
Z żonami, sukami wyschłemi,
Wyjdziemy wyjąca zgrają!

Jest, jest nędza nasza!
Są, są te dzieci, jak zmory!
Doprawdy są te poddasza,
Suteryny i nory!

Są, są ci sapiący chorzy,
Z których krew do kubła chlusta,
Jest, jest wilgoć zielona w komorze,
Brud, smród i kwaśna kapusta!

Zmarzłe kartofle surowe,
Kaszel suchy, piec zimny,
Deska twarda pod głowę:
Takie będą nędzarskie hymny.

Było, było o chłodzie i głodzie.
Jest, jest, że się męczy i zdycha,
Będzie, będzie kość chuda w wodzie
I razowiec z piaskiem i mdła kicha.

Jest, jest nędza: stół zmarznięty,
Szmaty w oknach i na ciele łachmany
I, krzyk w nocy, krzyk święty, przeklęty:
„Tato, tato kochany!”

DO MARJI PAWLIKOWSKIEJ

O, staroświecka młoda pani z Krakowa!
Strzeż się! Biskup pieni się i krzyczy: horrendum!
Na łąkę wychodzisz nocą po kwitnące słowa,
Tajne czynisz praktyki, aby pachniały ambrawą i lawendą.

Czy to prawda, że warzysz wrotycz i nasięźrzał
W księżycowej, źródłosłowej wodzie?
Już w to pono synod krakowski wejrzał
I wieść gruchnęła w narodzie.

W fiołkowych olejkach i w różanych
Warzysz słowa-hiacynty i słowa-akacje,
W jakim to grimoirze, w jakich księgach zakazanych
Wczytałaś owe inkantacje?

Co tak szepcesz słodko w wierszach kolorowych.
Że się lud bogobojny wzdryga?
Ach, na stos cię weźmie mistrz ogniowy,
Quia es venefica et striga!

Ćmy czartowskie, powiernice twoje,
Znoszą miód, kwiatom wyczarowany,
A potem barwią się, szumią, pachną trujące miłosne
[napoje
W wierszach, jak w retortach szklanych.

O K O

Ojczy barw, białe oko, o smoku ognisty,
Jak w kryształową banię, blaskiem w świat patrzący!
Z ciebie to przed wiekami te formy wytrysły:
Kręgi, sfery świetlane i gwiazdne trójkąty.

Z oddali niepójętej, mądry Polifemie,
Wypłynąłeś nam ślepiem, które się tu jarzy.
W przezroczach dziwy tworzysz, o wzroku bez twarzy,
Czyniący swą wysoką tęczową alchemję.

Szkieł twych, krystalomanto, cyfr twoich, wróżbito,
Nie zobaczę — aż duchem odpłynę do Ciebie,
I ujrzę zieleni ziemi, w jeden szmaragd zbitą,
I jeden szafir: wszystko, com marzył o niebie.

DO FRANCISZKA FISZERA

Franciszku! Jakież to wicher radości
Na skrajach ziemi się pieni?
Patrz: milion płomiennych wieczności
Piramidami wyrasta z przestrzeni.

Forteca wokół globu! Dosyc, dosyc nieba!
Bóg zazdrosny szturmuje do naszych serc!
Zamanic go i sciagnac trzeba,
Niech sie On teraz miota sred gorejacych twierdz!

Teraz Ojca przybic do krzyza,
Teraz Ojcu wieki męczeństwa!
Człowiek-Wicher, nasz brat, sie zbliża
Prostowac ściezki człowieczeństwa!

A wtedy my, krzyczacy na tej kuli
O młodości, o ostatniej wolności,
Spotkamy sie, jak przy zbiegu dwóch ulic,
Na rogu swiata i nieskończoności!

W Ó Z

I cóż z tego, że umknę huczącym tramwajom,
Że pędzącemu autu wyskoczę z pod kół?
I tak mnie tysiąc razy dziennie przejeżdżają,
Miażdżą mnie i druzgocą i krają przez pól!

Zabłąkany wśród wozów, pojazdów, wagonów,
Śród dyszlów i buforów, wiję się jak gad.
Tysiącem śmierci tysiąc wjeżdża na mnie zgonów,
Kołującą wiecznością zabija mnie świat.

Winkelrydem na dyszle! Świętym Sebastjanem
Na jadowite strzały czyhających gwiazd --
Wbić się i oczerwienić ciałem rozszarpanem,
Jak wojną i pożarem, kotłowisko miast!

Hej! Ty, co wznieść potrafisz w górę na tortury,
Na krzyż, co, w ziemię wbity, męką w niebo wrósł,
Z ulic skołowaciałych wyrzuc mnie do góry,
By mnie nocą stratował Twój gwiaździsty wóz!

NIEMA KRAJU...

Niema kraju, skąd nie będę tęsknił
Do dawnych, szarych ulic.
Złamie się w żałości każdy krzyk zwycięski,
We wszystkim dawność się rozczuli.

Niema ziemi, na którejbym spoczął
Bez szarego dawnego wspomnienia.
Wszędzie, wszędzie moim oczom
Jedno jest do patrzenia.

Nic mnie, nic nie uspokoi,
Nic w porywie już nie zatrzyma.
Wiecznie otworem nade mną stoi
Niebo — ziemia moja rodzima.

Nie pomogą żadne podróże,
Ani tłumy, ani oceany,
Modłę się na ulicach coraz dłużej,
Zapatrzony, zasłuchany.

Nie pomogą najprzedziwniejsze słowa,
Ani hymny dzikie, ani szalone gonitwy.
Cokolwiek będzie — przyjdą znowu
Stare, codzienne modlitwy.

Wołam, wołam, dłonie w rozpaczę łamię,
Boże! wysłuchaj! błysnij w niebie mieczem!
A on — tam, na ulicy, czeka na mnie:
Mój znajomy, szary, prosty człowieczek.

Ż Y D E K

Śpiewa na podwórku, tuląc się w łachmany,
Mały biedny chłopiec, Żydek obłąkany.

Ludzie go wygnali, Bóg pomieszał głowę,
Wieki i wygnanie pomieszały mowę.

Drapie się i tańczy, płacze i zawodzi
O tem, że się zgubił, że po prośbie chodzi.

Pan z pierwszego piętra patrzy na warjata:
Spójrz, mój bracie biedny, na smutnego brata.

Kędy nas zanosło? Gdzieśmy się zgubili,
Świata ogromnemu obcy i niemili?

Pan z pierwszego piętra, brat twój opętańczy,
Głową rozpaloną po wszechświecie tańczy.

Pan z pierwszego piętra wyrósł na poetę:
Serce swe, jak grosik, zawinie w gazetę,

I przez okno rzuci, żeby się rozbiło,
Żebyś je podeptał, żeby go nie było!

I pójdziemy potem każdy w swoją stronę
Na wędrówki nasze smutne i szalone.

Nie znajdziemy nigdy ciszy i przystani,
Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani...

SKWAR NĘDZARZY

I mętna i ciepła i mdła
Cieknie woda z zatkanego kranu;
Ale są mroźne, rośne szkła,
I wonny arak pachnie z nurtów mazagranu.

Gdy pani z pierwszego piętra przechodzi w chłodnej sieni,
Snuje się za nią przewiew majowych perfum: bez...
Ale dla nas, z czwartego, niema tej wiosennej jesieni,
Od rana wali przez okno słońce, płomienny bies.

Niema w mieszkaniu cienia. Blask szydzi z suchych
nędzarzy.

Strych duszny trzeszczy nad głową, pali się szorstki dach,
Tynk sklerotycznych murów pęka, wapiennie się praży,
Kruszy się i opada na żar okiennych blach.

Roją się muchy mściwe na łóżku, na zżółkłej gazecie,
Na mięsie obmierzłym, na stole, bzykają, nudzą, tną,
Spokój i chłód jest tylko w cienistym miejskim szalecie,
Bo na podwórzu w kloace muszyska w upale wrą.

A na ulicach asfalt gotują w kotle. Żli są.
Tłuką kamienie na szosie. Duszą się. Muszą tłuc.
Pęka ze śmiechu i skwaru bies biały z mordą łysą,
Proch miałki końskiego łajna wdycha nędzaczom do płuc.

Wrzeszczą aut karawany, rozbłyskane i wściekłe...
Panowie jedwabni i chłodni! Nie znacie naszych nóg!
Jakie są poranione, jakie brudne i spiekłe,
Starte w zdartych trzewikach o rozpalony bruk!

...Pani z pierwszego piętra w kaflowej białej wannie
Konwalje mydeł piennych natryskiem rześnistym zmywa,
Pan cytrynowe lody podaje w altanie pannie,
W dzbanie wina zimnego lód porąbany pływa.

A my dopiero w niedzielę za miasto wlec się będziemy,
Koślawi, starzy, biedni, przez piachy, w pocie, w spiece,
Aż kilka drzew znajdziemy, nad jakiś brzeg zajdziemy,
Siądziemy, odetchniemy przy zielonawej rzece.

Nudna jest przesłodzona mleczna herbata z butelki,
Straszna jest bułka z masłem stopniałem, złotem, jak
miód,

Ale jest cisza nad rzeką i spokój, spokój wielki,
Od stóp, pluszczących się w wodzie, studzienny ciągnie
chłód.

Już wieczór luby zawiewa, wietrzyk w rękawy się wtula,
Deszcz kropi... toczy po wodzie kręgi z niebiańskich łez...
Siedzimy, wpatrzeni w głębinę, gdzie, jak czerwona kula,
Nabiegły krwią ze wściekłości, zdycha płomienny bies.

BUTY

Jak dwa kundle parszywe, tak stawiam wieczorem
Ciężkie od błota kapcie przed łóżkiem na straży.
Śpię martwo, z srebrną szramą księżycą na twarzy,
Z ręką wiszącą miękko nad mokrym buciorem.

W nocy chmury obrzękłe błędzą po pułapie
I, jak płacz, słyhać kroki w pokoju samotnym:
Rozpaćkanym chlupotem sen mój biedny człapie
I tak się po mnie wlecze, jak ja po dniu słotnym.

Rano — potopy słońca na podłodze leżą
I dzień jarzącą hańbą w oczy mi się ciska:
Drewnianemi szpilkami zęby do mnie szczerzą
Głodne nędzy mej, straszne, wyschnięte buciska.

MIESZKANIE

Wszystko to jest nieprawdziwe:
Oświetlone cztery pokoje
I te sprzęty, o których mówię — moje,
I te kwiaty, o których mówię — żywe,
Wszystko to jest nieprawdziwe.
A kiedy chodzę — kroki są nie moje.
Snem zawikłanym płynę przez pokoje.

Przyniosło mnie tutaj z nieskończoności
Szare, mętne morze.
Kiedy na kanapę się położę,
Kołuje mną wielki zawrót pradawności,
Kiedy usnę — na dno opadam,
A kiedy oczy otworzę,
Ze snu do mieszkania wrywa się kaskada
Szumiącej groźnie wieczności.

NAGŁE SPOJRZENIE

Ludzie baryły, ludzie zwierzęta,
Żerdzie, przedmioty poprzebierane,
Drewna chodzące, kto was opętał,
Duchy kanciaste, śmiercią nękanie?

Czego tak łypiesz dziurami w głowie,
Straszny wysoki koniu w krawacie?
Słupie z czupryną, wiechciu włochaty,
Kozle beczący — skąd przybywacie?

Kto wami rusza, o czym mówicie,
Z głębin patrzący, martwi, zakłęci,
Kości, sklecone w ruchome życie,
Widma prastarej, ciemnej pamięci?

Wierzbo w surducie, krowo brodata,
Cepie we fraku, duchy skrzypiące,
Z pustych bezmiarów, z mętnego świata
Głucho i głupio do mnie mówiące?

Skądżem tu wziął się przy stole z wami,
Stwory djabelskie, graty człowiecze?
— Oczy jak płomień! Ręce jak miecze!
Bijcie szatana egzorcyzmami!

COCKTAIL

Krętą zmijkę zieloności słodkiej
Wślizgnął zwinnie do płynu złotego
Mister Mixer, Lord of Jazz and Cocktail,
Gubernator Barwistanu mego.

Potem kapnął krwawą kroplą z butli,
Aż bulgnęło, wygięło się w tęczę.
Smuga trawy w głębi złotej wódki
Zróżowiała w pasemka pajęcze.

A gdy wszystko barwiście już wrzało,
Strzyknął wina i skropił arakiem,
Aż w kieliszku coś zatrzepotało
Niecierpliwym, kolorowym ptakiem.

Przewróciło się leniwie, krągle,
Płynne, senne, niezdecydowane,
Farba w barwę dzwoniła trianglem,
W szkło kieliszka — moje oczy szklane.

A gdy potem pod światło spojrzałem,
Jak się miota i pieni i jarzy,
Gubernator w kitlu śnieżnobiałym
Miał kolibri i pawia na twarzy.

A gdym haustem w gardło lunął barwą,
Jakbym połknął niebo z wysokości,
Wszystkie korki wystrzeliły salwą
Ze łba Mojej Poetyckiej Mości!

HOKUS-POKUS

Mógłby to być new-yorkskich scen trick:
Słowa i rytmu prężny dwugłos.
Zaczynam numer — kpiarz, ekscentryk,
Alchemik, tancerz i wirtuoz.

Mam rym, solidnie w mowę wbity,
I strofą na dół wiszę na nim,
Aż nagle, słowa mocnym chwytem,
Przekręcam się do góry zdaniem.

Nad siatką — hopla! — w przepaść lecę,
Śmiertelny rekord skokiem biore,
Odbijam się, nad życiem świecę
Kometą, pijanym meteorem.

I znowu stoję uśmiechnięty
Ja, głosów świata imitator,
I nowe puszczam w ruch talenty,
Pinetti, prestidigitator!

Garść słów, żyjątek kolorowych,
Napłask w elipsę rzucam krągłe,
Na pręty dźwięków metalowych
W biegu nadziewam je, jak żongler!

Spójrzcie, jak poryw fajerwerkiem
Rozbijam w jazz-band barw i iskier,
Chmurką kolibrów frunął z ćwierkiem,
W otwarte usta wpadł mi błyskiem.

Logofag! Dziwo! Okaz rzadki!
Fenomen! Człowiek-wiersz! Unikat!
Jak węże i skaczące żabki,
Płonące zgłoski haustem łykam!

Palmé! Changé! I zręczny magik,
Wtajemniczony słowożerca,
Wobec lekarzy, więc bez blagi,
Połknięty krzyk wyrzucam z serca!

W bezmiar żongluję zwinną mową,
Plącę ją w deseń fantastyczny
I zgóry wiem, gdzie padnie słowo,
Clown, matematyk histeryczny!

O słowa, pędem serca gnane!
Słowa, krążące w twórczym transie!
Z chaosu mroków, z wichru planet,
Grzmi po raz wtóry groźne: Stań się!

Jednem zaklęciem: — hokus - pokus —
Tworzę i wcielam świat od wieków.
O hokus pokus! Hoc est corpus!
Formuło bogów i poetów!

SPRAWOZDANIE Z PODRÓŻY NA WYSTAWĘ
SZTUKI DEKORACYJNEJ W PARYŻU

Jest w tym Paryżu
Dużo krzyku i rozpusty,
I jest
„Exposition des Arts Décoratifs“.
A ja siedzę w knajpce w pobliżu
I piję apéritif,
Piąty czy szósty.

Na trotuarze
W krześle plecionem
Siedzę i gwarzę
Z drzewem zielonem:
— Arbre! Ecoutez!
Votre santé!
C'est vous — le plus beau pavillon polonais!

ZAMYŚLENIE W OBCYM MIEŚCIE

Tutaj, w kąciku kawiarenki,
Do chłodnej przytulony ściany,
Tak miło obcy i nieznany,
Prastare nucę piosenki.

Bez słów, bez dźwięku i melodji,
Samem spojrzeniem w dzień szarawy,
Wyśpiewujący wieczne sprawy
Samotny człowiek się modli.

Nie wiem co było i co będzie,
Kres był przed chwilą i początek,
Za oknem — świata kawałek
Mętnie kołuje, jak wszędzie.

Wyjdę. Nie będzie żadnej drogi
Śpiewaniu memu i milczeniu.
Tobie, wietrze, tobie, kamieniu,
Śpiewam, człowiek ubogi.

SPACER FANTASTYCZNY W LESIE FONTAINEBLEAU

Szybkim krokiem przez pochmurny las.
Chłodno, szumno pod liści migotem.
Ścieżka prosta, jakby z bicza trzasł;
Długa lufa z świetlistym wylotem.

Las się wiatrem zanosi. Spadł liść.
Kwili ptactwo strwożone. Deszcz będzie.
Jedno wiem: trzeba iść, trzeba iść
Naprzód w leśnym zielonym obłędzie.

Krąg się zwiększa. Wiem, co znajdę w nim,
Wdal idący, wietrzny i rozwiany:
Deszcz złocisty i słoneczny dym
Parującej, zroszonej polany.

Ale może cudem sprawi Bóg,
Że się nagle czas i świat zabłąka
I pomyli dzieje leśnych dróg
I wtem — patrzcie: inowłodzka łąka!

W T E D Y

Kiedy kino nazywało się jeszcze „bioskop“
Albo „iluzjon“,
Kiedy nosiłem czapkę uczniowską,
Wszystko było doprawdy iluzją,
Marzeniem i beztroską.

Nie znałem wtedy „Cunardów“ i „White Star'ów“,
Miałem w Łodzi kamienicę zaklętą,
Tam nie trzeba było mieć dolarów,
Bo każde piętro
Było pokładem okrętu.

Kiedy pisałem jeszcze: „Kwiatów kielichy“
I „róż kobierce“,
A rymowałem:
— Cichy,
— Serce,
Miałem doprawdy ciche serce.

Wtedy,

Kiedy kino nazywało się bioskop,
Kiedy na schodach były dziwy,
Kiedy wszystko było budzącą się piosnką,
Byłem jeszcze szczęśliwszy.
Dziś jestem tylko szczęśliwy.

NAD CEZAREM

Szkoło! Szkoło!
Gdy cię wspominam,
Tęsknota w serce się wgryza,
Oczy mam pełne łez!
...Gallia est omnis divisa
In partes tres...

Książko podarta!
Niejedną tobie rzuciłem obelgę,
A dzisiaj każda twa karta
Słodkiem wspomnieniem rani!
...Quarum unam incolunt Belgae,
Aliam Aquitani...

Ileż to z serca
Płynęło nad tobą skarg:
Czy mają cel te
Przekłady z rzymskich awantur?
...Tertiam,
Qui ipsorum lingua Celtae,

Nostra Galli appellantur...

Dzisiaj

Z burzami się mozolę

Na wielkiem morzu, dokąd los mnie zagnał,

A w szkole, w szkole

Palus erat non magna...

Nigdy nie zgłębię gruntu,

Ani do portu nigdy nie zawinę!

Cezarze!

Dum haec geruntur

Magnis itineribus ku śmierci pływę...

MADRYGAŁ

Dziewczę wiotkie, Joanno innego imienia!
Dawno już nie mówiłem do ciebie kwiatami,
O, fiołkami, Joanno! O, wonią wspomnienia,
Czerwonemi ustami, liljowemi listami!

Kwiat — może być mimozą, złotych łez fontanną,
Wiersz — deszczem słów majowych, dźwięczącą litanją,
Więc pozwól, że cię nazwę Klaryssą, Joanno,
Która jesteś wkwieconą w te strofy Stefanją.

LIST p. t. „LIEBESLEID“

Otoczył wiatr świetlanych fal
Nimb jasnej twojej głowy.
Srebrzystą taśmą płynie dal
Na ekran księżycowy.

Liljano! O, lilijny śnie,
Liljowo-srebrna panno!
Z smętnego filmu wołasz mnie
Melodją nieustanną.

Metrami taśmy tysiąc mil
Gna serce pełne żalu,
Kołuje Tobą sen i film
W opalu i woalu!

Na lila list opada łza
I w sercu coś zamiera!
Jak słodko wiolonczela łka:
To „Liebesleid“ Kreislera.

I wionie wiew świetlanych fal
Nad nimbem złotej głowy
I drżącą taśmą płynie dal
Na ekran księżycowy.

BERLIN 1913

O, smętne, śnieżne nevermore!
Dni utracone, ukochane!
Widzę cię znów w Café du Nord
W mroźny, mglisty poranek.

Strach, słodki strach od stóp do głów.
Dygot błękitnych, czułych nerwów,
I sen był znów i list był znów:
Mgła legendarnych perfum.

Lecz niema mnie i niema mnie
I nigdy w życiu mnie nie będzie.
Zostanę w liście, zostanę w śnie,
W tkliwej, śnieżnej legendzie.

Nic o tem nie wiesz. Czekasz, drżąc.
Dzień sennie sypie się i szepce.
Ach, serce moje i młodość mą
W srebrnej nosisz torebce.

Wczoraj? A co to było? Tak:
Carmen, kareta, wino, walce...
Mignęło w oczach. Nic — to ptak,
Wyszyty na woalce.

Pusto i ciepło w tem Café.
Zima się w oknie szronem perli.
Nie przyjdę. Idź. Nie spotkasz mnie.
...Wielki, wielki jest Berlin.

WIECZORNY WIERSZ

Czasem u szczytu ulic zachód złotym blaskiem
Mury niebios rozwała na złomy płomienne.
Wtedy listopadowe wieczory warszawskie
Wieją wiosną i płyną, młodością wiosenne.

Ile łez we mnie było i ile miłości,
Ile westchnień i szczęścia w majowej ulewie,
I moich słów dla ciebie i wielkiej czułości:
Wszystko z nieba powraca w dawnym, ciepłym wiewie.

I znowu idę lekki i nocą wezbrany,
Jakbym niósł liść wilgotny na sercu otwartem,
Wtedy w twojem miasteczku ciemniały kasztany,
Pachniał groszek pachnący na sercu pod paltem.

— Płakać, jedyna moja, mogę tylko Tobie.
Ty zrozumiesz. Rozgrzeszysz spojrzeniem pokornem.
I wiosnę zakochanych znajdziesz w skromnym słowie
I ciężką gorycz moją w tym wierszu wieczornym.

ŻONA

Mąż jest tuman, marnotrawca, leń.
Stoi przy oknie lub biega po mieście przez cały dzień.

Patrzy, patrzy, na tramwaj, na śnieg,
Gwiżdże i mruczy, kręci się, szuka, jak szpieg.

Książki czyta, przerzuca za tomem tom,
Książek, foljantów dziwacznych pełen dom.

Mówi mętnie, nerwowo. Spieszy się wciąż.
O czym tak ciągle myśli i co tak szepce mój mąż?

Wieczorem pije wódkę. Jestem zła.
W oczach, w oczach kochanych pijana mgła.

W oczach, w oczach kochanych mgła... mgła...
Ale on klęka przede mną i oczy zamyka
I wtedy rozumiem słowo: JA.

POPROSTU

Tak — poprostu: ten las i ta chwila
Wtedy rano, dwanaście lat temu.
Z krzaków nad strumieniem świat się wychylał
Mnie — młodemu, wesołemu, tamtemu.

Ach, jak świeżo było! Po białej kawie
Z werandy — w las, drżący łzami.
Usiadłem z geometrją na trawie,
Bo nazajutrz miał być egzamin.

Ach, jak smutno było i wesoło!
Piskłę w liściach kwiliło cichutko.
Pomyślałem: „Ptak... las... ona... szkoła...”
Bez radości i bez smutku.

Zamyśliłem się wtedy — na chwilę,
Tak, poprostu, nad wszystkim, nad całym.
I tyle lat minęło i rzeczy tyle,
A ja jeszcze jakoś nie przestałem.

P O G O Ń

Wpadłem do domu
Piorunem krwi,
Porywem gromu
Rozdarły się drzwi!

Wichrem przez pokój,
Orkanem w mur:
Otwórz! Uspokój!
Goni mnie, goni
Tysiąc gór.

Gonia mnie stepy,
Jak stada lwie,
Ocean ślepy
Ulicą rwie!

Świat za mną ryczy
Łapać go! Stój!
A ja jestem niczyj,
Ja jestem twój!

Otwórz, uratuj,
Oplotem zwiąż,
Zawołaj światu:
To jest mój mąż!

W wieczność mną miota
Żywioł potworny — —
Matko żywota!
Matko żywota!
— W kąciku klęknię pokorny...

WSPOMNIENIE

Mimozami jesień się zaczyna,
Złotawa, krucha i miła.
To ty, to ty jesteś ta dziewczyna,
Która do mnie na ulicę wychodziła.

Od twoich listów pachniało w sieni,
Gdym wracał zdyszany ze szkoły,
A po ulicach w lekkiej jesieni
Fruwały za mną jasne anioły.

Mimozami zwiędłość przypomina
Nieśmiertelnik żółty — październik.
To ty, to ty, moja jedyna,
Przychodziłaś wieczorem do cukierni.

Z przemodlenia, z przeomdlenia senny,
W parku płakałem szeptanemi słowy.
Młodzik z chmurek prześwitywał jesienny,
Od mimozy złotej — majowy.

Ach, czułem, przemiłem snami
Zasypiałem z nim gasnącym o poranku,
W snach dawnemi bawiąc się wiosnami,
Jak tą złotą, jak tą wonną wiązanką...

P O D R Ó Ż

Jechał wielkim, głbiącym oceanem
Długie, długie tygodnie,
Wielka burza przeszła orkanem,
Potem było już cicho i pogodnie.

Jechał wodą gęstą i głbiącą,
Aż do portu wesołego dobił.
Wyszedł na ziemię, pachnącą gorąco:
„Co ja tu będę robił?”

Opadli go czarni chłopcy,
Krzyząc, że odniosą walizki,
Wszyscy byli jednakowo obcy,
Lecz ten, który wziął bagaż, — był bliski.

Poszedł za nim, za tym jedynym,
Do białego hotelu,
Teraz był starego portjera synem,
Chciał zapłakać: „Ojczy i przyjacielu!”

Uśmiechała się ciemna służąca
I przewracała białkami,
Przyniosła — jak wszystkie — wodę,
I został sam z walizkami.

I pomyślał: „Żeby wrócić do domu,
Znow muszę jechać przez długie tygodnie,
Śród głębiącego, straszego ogromu,
Na którym smutno było i cudownie.

A wrócić muszę, muszę,
Bo kłamałem, że ojczyzną jest świat!
Ojczyzną jest to smutne podwórze,
Na którym nie byłem tyle lat!

Tam jest teraz zmierzch, deszcz, szarawy kwiecień,
Miotła w kącie moknie“...
I najsmutniejszy na świecie
Stanął przy oknie.

WIERSZ WYSZYDZAJĄCY DZIECI

Dzieci-warjaci, co wy robicie?
Dzieci-szaleńcy, w co się bawicie?
Dlaczego krążysz z głową zadartą,
Trzyletni dziwie, jasny grubasku?
Czemu powtarzasz z pasją upartą
To dzikie słowo, zmyślane słowo:
„Tere-bere, tere-bere!”
Czemu obłądnie tarzasz się w piasku.
Chudy pędraku z spiczastą głową,
Niańce tłumacząc zaziemską mową,
Że tego nie chcesz, a tamto chcesz?
Ciemny warjacie, czego się drzesz?

O czym ty śpiewasz, o niepojęta
Mała istotko, porwana szaleńcem?
W pieśni wymieniasz stare zwierzęta,
Czemu im nazwy dajesz zdrobniałe?
Jaki się w tobie rozegrał bies?
To nie jest piesek — to Groźny Pies!

Czemu bełkocąc, sepleniąc słowa,
Wielki szaleńcze, pleciesz androny?
Spójrz — zgroza niebios łka purpurowa,
Nad światem — pożar czerwony!
Nie skacz tak głupio na jednej nodze,
Zastanów się, nieprzytomny!
Nocą się z płaczem obudzisz w trwodze,
Światło wyrąbie przepaść w podłodze,
Kiedy za oknem upiornie stanie
Księżyc ogromny.

Niema nikogo. Puste mieszkanie.

Tylko nad tobą, na drugim piętrze,
Tak samo straszy pokoju wewnątrz
I w okno patrzy wylękły pan,
Strach ciecżą srebrną płynie ze ścian
I trzeszczy śmierć w stęchłej ścianie,
Tak samo. tak samo, kochanie...

ROZMOWA

— Kto jesteś?

— Lunatyk, we śnie krążący.

— Co robisz?

— Błądzę, obłądny i śpiący.

Płynę, ślizgam się lekko po księżycowej polewie...

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Skądżeś ty?

— Z domu, z mieszkania.

Księżyc mnie na świat wygania,

Woła mnie śpiewem srebrnym

Na mgławcy spacer podniebny,

Muszę iść!

— Biedny!...

A ty się nie daj!

— Nie mogę.

Żałobnie wyruszam w drogę,

Żegnam się z życiem płacząc

I idę w wędrówkę tułaczą...

— A co tam jest?

— Tam jest trwoga:

Chwiejna, blada podłoga
I otchłań srebrnej nocy,
I znikąd niema pomocy,
Choć blisko do Pana Boga.

— I zawsze już tak będzie?

— Zawsze, zawsze i wszędzie!

Już mnie na klucz zamykali,
W okna kraty wmurowali,
Nic nie pomogło.

NIEZNANE DRZEWO

*Poświęcam najświętszej pamięci
Stefana Żeromskiego*

Gdzie jesteś, drzewo mocne i dumne,
Rozgałęzione, liśćiami szumne,
Węzłem korzeni zarosłe w ziemi,
Drzewo, z którego będę miał trumnę?

Muszę cię poznać, w korę zastukać,
Po lasach wołać, po borach hukać:
Gdzieżeś, tajemne drzewo trumienne?
Twój narzeczony przyszedł cię szukać!

Błądzi strapiony po czarnym borze,
Drzewa swojego znaleźć nie może,
Zaszum mi, zaszum na wieczność naszą,
Zanim się z tobą do snu ułożę.

Trzeba się przecież umówić wprzód
Na owe ciężkie śmiertelne trudy,
Gdy nam sądzono po nieskończoność
Zmieniać się w popiół, w bezpłodne grudy.

Może na tratwach po sinej fali
Przypłyniesz do mnie z ogromnej dali,
I wstyd nam będzie, wieczny sąsiedzie,
Żeśmy do śmierci się nie poznali!...

A może rośniesz przed moim domem,
Codzień witane a nieznajome,
I ktoś ci może wyrzezał w korze
Miłe litery, serce wiadome?

Długo, serdecznie gadałbym z tobą,
Wzruszyłbym wierszem, wymógł żałobą,
Żebyś rozparło tę ziemię czarną
I znów zakwitło, na dziwo grobom.

Żebyś mnie w siebie jakoś wszczepiło,
Wydarło z ziemi ukrytą siłą!
Coś może złączy nerw jakiś z kłaczem,
I zadrzewimy się nad mogiłą!

Może ogromnem westchnieniem z łona
Wgórze nas wzniesie ziemia zielona,
Ziemia jedyna, ziemia rodzima,
Tym grobem w samo serce zraniona.

FLECTERE SI NEQUEO ACHERONTA
MOVEBO

Ilem ja się nabłagał,
Godzin moich rozkrwawił,
Kiedym z Tobą się zмагаł,
Byś od siebie mnie zbawił!

Ilem wykłuł oczami
Gwiazd w otchłannej twej nocy,
Uragając twej mocy,
Kiedy byliśmy sami.

Wymęczyłeś mnie, drżący
O swych dzieł tajemnicę,
Doskwierając mi słońcem,
Strasząc sinym księżycem.

Ilem razy odskoczył,
Niezabity piorunem,
Gdym zbyt śmiało wbił oczy
W chmurzysk burzę i łunę!

Wieczną, moja zgryzoto,
Męko moja, torturo,
Śmigająca mną potąd,
Aż w śmierć wmiecesz wichurą!

Gdy nie schyli się niebo,
Piekło sercem poruszę,
Acheronta movebo!
Muszę!

POD GWIAZDAMI

Leopoldowi Zborowskiemu

Mieszkam teraz w białym domu
Z zielonemi żaluzjami,
Z liljowemi glicynjami
Za oknami.

W słońcu grzeję się pod płotem.
Albo chodzę po ogrodzie
(Cały ogród — dwa kasztany),
Od kasztanów do altany
I zpowrotem.

Znam tu mnóstwo głośnych ptaków
I zupełnie nie znam ludzi.
Ptak mnie codzień świtem budzi,
Oстрым świstem z mokrych krzaków.

Czuję się tu doskonale.
Jem — niczego, śpię niezgorzej,
Czytam „Lalkę“, świeczkę palę...
Mieszczuch w wiejskim futerale.

Lecz wieczorem, gdy gwiazdami
Bóg na niebie się rozpina
I złotemi ich ćwiekami
Wali w świat, jak kamieniami,
I straszliwie napomina
Krażącemi światłościami:
— Chaos ciemny we mnie wzbiera,
Chwyta mnie w prastary związek,
Pod batogiem spojrzeń bożych
Idę pełnić obowiązek.
Jestem we śnie jak chimera
Z wilczą mordą i ślepiami,
I nad sobą samym, śpiącym,
Czuwam, wsparty granitowo
O dom biały z glicynjami,
Z zielonemi żaluzjami
Za oknami...

KOŚCIÓŁ

Jakże się nie mam pysznić,
Jakże się nie mam chwalić,
Jeżeliś Sobie kazał
W zanadrzu mojem się palić?

Jeżeliś iskrą, rzuconą
Z wielkiego ognia wieczności,
Rozpalił moje łono
W piekło słodkiej miłości!

Wyrosły domy boże
Ponad libańskie cedry,
Nie gorszym ci jestem kościołem,
Niż granitowe katedry.

Na ciało, pnące się w niebo,
Łaska tajemna spływa:
Rosnę, kipiąca słowami
Świątynia twoja żywa.

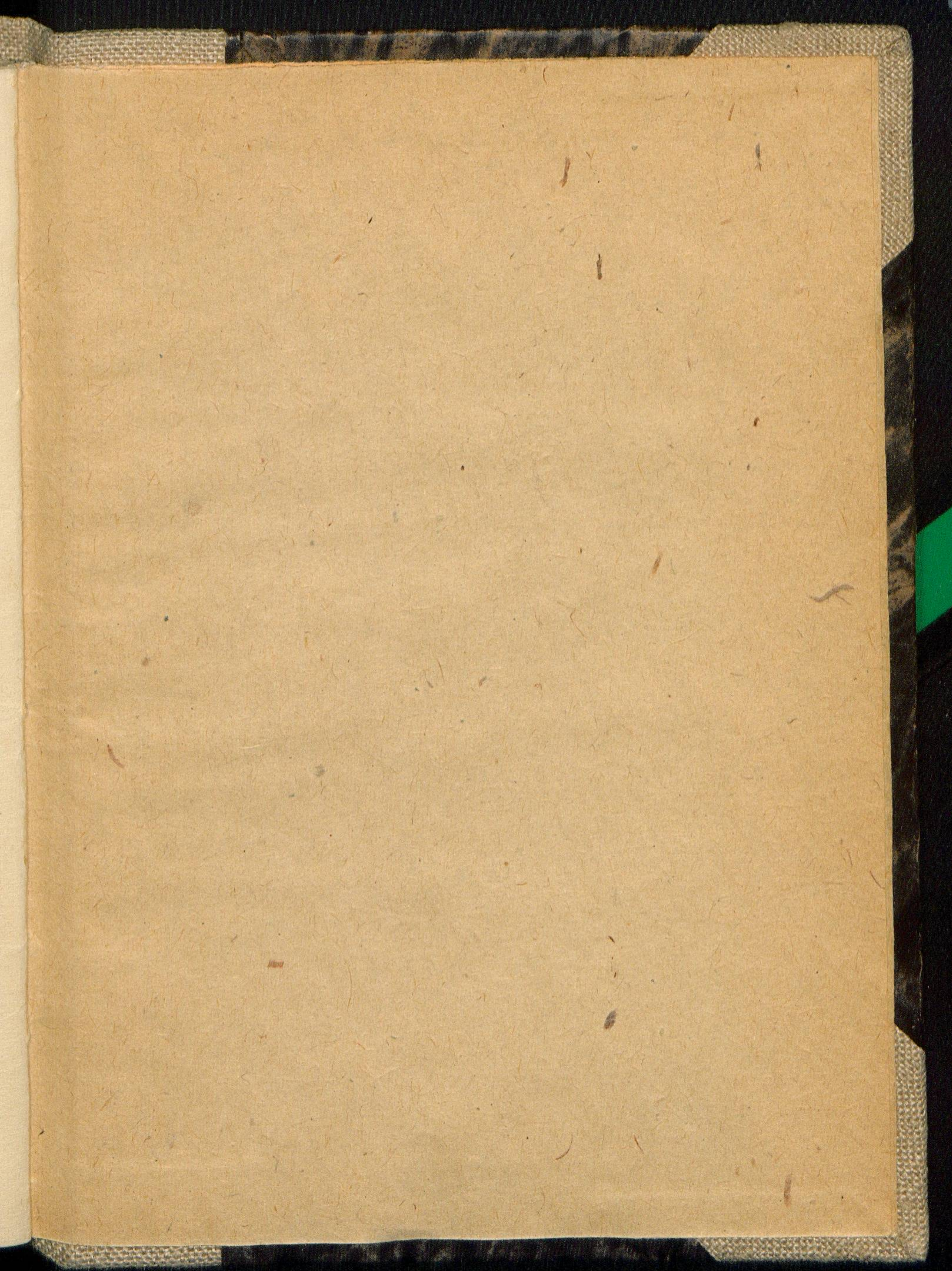
Słowami-gołębicami
Krażę nad Tobą, o Panie!
I ciało słowem się dzieje,
I tacyśmy chrześcijanie!



SPIS RZECZY

	Str.
Słowo i ciało: I	5
II	6
III	7
IV	8
V	9
Muza czyli kilka słów zaledwie	10
Sitowie	12
Przemiany	14
Zacisnąć pięści...	16
Słowem do krwi	17
Prośba o piosenkę	18
Quatorze juillet	19
Pogrzeb Prezydenta Narutowicza	21
Nędza	22
Do Marji Pawlikowskiej	24
Oko	26
Do Franciszka Fiszera	27
Wóz	28
Niema kraju...	29
Żydek	31
Skwar nędzarzy	33
Buty	36
Mieszkanie	37
Nagłe spojrzenie	38

	Str.
Cocktail	40
Hokus-pokus	42
Sprawozdanie z podróży	45
Zamyślenie w obcym mieście	46
Spacer fantastyczny	47
Wtedy	48
Nad Cezarem	50
Madrygał	52
List p. t. „Liebesleid“	53
Berlin 1913	55
Wieczorny wiersz	57
Żona	58
Prostu	59
Pogoń	60
Wspomnienie	62
Podróż	64
Wiersz wyszydzający dzieci	66
Rozmowa	68
Nieznane drzewo	70
Flectere si nequeo...	72
Pod gwiazdami	74
Kościół	76





126835

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017620350